Rok I Piotrków, dnia 20 kwietnia 1918 r. Nr. IV

MŁODZIEŻ

Dwutygodnik wydawany staraniem uczenic
: : : gimnazjum WP. H. Trzcińskiej : : :

»Pamiętam — ojców dworek stary:
W salonie stały na kominku
Jednakich kształtów dwa zegary,
Co je dziad dostał w upominku.
One melodją o dniach chwały
Nieraz mnie do snu kołysały«.

Pamiętam — »ojców dworek stary«, ten cichy, modrzewiowy, kochany dworek. Pamiętam — te jesienne długie wieczory, gdy świstały i wyły wichry za dzwoniącemi ze strachu szybami. Przewalały się wiatry, szarpiąc wściekle odartymi konarami drzew, wznosząc tumany złoto-rdzawych liści jesieni i ze świstem rzucając je kłębami w białe ściany. Płakały wtedy rzewnie i szlochały dachówki, trzeszczały i uderzały nagiemi gałęziami odarte lipy. Wichry jesienne nurzały się w złotej powodzi traw i liści, szarpały się i siłowały z przejmującem zimnem. A w salonie poza ścianami było tak zacisznie, tu nie dochodziły zimne podmuchy. Siedzieliśmy cicho przed trzaskającem ciepłem ogniskiem, przysłuchując się tylko szumowi i ponurym wyciom. I wesoło nam było, wesoło trzaskały smolne szczapy, wesoło skakały czerwono-złote języczki ognia, a więc i wesołe były serca nasze, ogrzane ciepłem domowego ogniska.

Co tam, że wicher świszcze —

Cóż, że płaczą skostniałe drzewa, że żalą się złote liście, kiedy nam tu tak ciepło, wesoło. Stare zegary na kominku grają kuranty, a Dziaduś nasz siwy przy tych melodjach opowiada o swych żołnierskich miłych latach, różne śliczne historje, nieraz takie straszne, bohaterskie czyny. A w naszych młodych sercach naprzemian, to krew się ścinała z przerażenia, nieraz piąstki zaciskały się mocno, o! bardzo mocno, aż kostki trzeszczały, a z oczu sypały się iskry, wraz z iskierkami palących się szczap. Dobrze nam tak było żyć wspomnieniami przeszłości, to też ileż wieczorów było wesołych, pełnych śmiechu. Pełnych śmiechu wieczorów było dużo, ale były też i smutne, gdyśmy słuchali o przegranych bitwach, niepowodzeniach i smutkach. A jeden taki wieczór był jakiś inny, słuchaliśmy historji dziwnej. Dziaduś, wróciwszy ze spaceru niespokojny, wcale nam z początku nie chciał opowiadać, żadne prośby, ani groźby wnucząt nie pomagały. — »Cicho smyki — spać wy muchy zatracone«. — A te zatracone muchy jeszcze większe podnosiły brzęczenia. Dziadek wpatrywał się w płonące głownie wzrokiem, który nie widzi co się wkoło dzieje, lecz widzi jakieś rzeczy oczyma

duszy — dalekie nieraz od przedmiotu, na który się patrzy. To znowu twarz jego przybierała naprzemian wyraz marsowaty, to jakiś rzewny, łagodny. I nie zwracał już wtedy uwagi na dzieci, które czepiały się jego kolan, rąk, prosiły żebrały o parę słów.

— »Cóż ja wam powiem bąki jedne, bo wy cokolwiek zrozumiecie, bajki, to dobre dla was, ale nie takie rzeczy, a ja dzisiaj nie do bajek, gdy takie ważne sprawy«...

— »Dziadziusiu! ależ zrozumiemy wszystko, tylko nam mów Dziadziu!« I znowu nowa serja próśb. W tej chili stare zegary zaczęły dzwonić i dźwięki, jak okrągłe perełki rozpryskiwały się po całym pokoju, staczały się w najgłębsze kąciki, dzwoniły i śpiewały.

Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy!
Co nam obca przemoc wzięła,
Mocą odbierzemy.

Zawsze słuchaliśmy z uwagą aż rozprysnęła się i przebrzmiała ostatnia nuta, lub wtórowaliśmy naszymi piskliwymi głosikami, a Dziaduś śpiewał z nami i śmiał się. Dzisiaj zrobiło się zupełnie cicho. Gdy zegary umilkły, Dziadek słuchał — słuchał jeszcze ostatniego echa, które już przebrzmiało, przepłynęło, zamilkło. Myślał nad czemś bardzo, a ja, która siedziałam najbliżej z głową opartą na jego ręku usłyszałam urywane słowa.

»Nie zginęła... póki my żyjemy
— Obca wzięła... mocą odbierzemy —

odbierzemy«. — Pod moją głową skręciła się ręka w pięść. Obudził się nagle.

»Powiem wam — rzekł — ale musicie słuchać uważnie, jeszcze wam takiej historji nie opowiadałem«. — Słuchamy! — Słuchamy! — Cała gromadka zbiła się w koło. Pootwierały się ciekawe oczy i na chwile zaległa głęboka cisza oczekiwania, tylko smolne szczapy trzaskały, pryskając iskrami i skwiercząc uparcie.

— Opowiem wam historję o starym wieżowym zegarze, który miał już ze starości umrzeć, a któremu tylko jedna godzina życie przywróciła i żył jeszcze długo. Otóż słuchajcie.

— »Na wysokiej wieży bernardyńskiego kościoła, siedział sobie stary, bardzo zgrzybiały zegar, który już od paru wieków wydzwaniał godziny. Ze starości zsunął mu się na oczy zapleśniały i mchem porosły kaptur, powyszczerbiały mu się wskazówki, oblicze jego pokryły skazy i blizny, wraz z kurzem i starością. Co kwadrans jego trzęsąca się ze starości ręka pociągała za sznurek i ochrypłym, drżącym głosem wydzwaniała czas. Powyszczerbiane wnętrzności prosiły już o spoczynek. Ale nie mógł jakoś umrzeć stary bernardyn tylko coraz więcej chylił się ku ziemi. Codzień budził ludzi do pracy, patrzył zgóry na ich krzątania i codzienne zajęcia, a gdy słońce zniknęło za horyzontem, wydzwaniał kołysankę. Gdy wszyscy zasypiali twardym snem po pracy, on czuwał nad nimi. — Aż pewnego dnia jego brzydotę pokryły puszyste śniegi, otuliły go zewsząd białą pierzynką. Był wtedy piękny poranek.

Staruszek widział, jak złotawe mgliste promienie zalewały swem światłem zlekka przyprószone śniegiem ulice. Z rozkoszą kąpały się w nikłem świetle skostniałe nagie konary drzew, przytulone do zimnych oślizgłych murów. Niebo uśmiechało się zamarzłym błękitnym uśmiechem, wszystko tężało w powietrzu, a mróz kłuł igiełkami. A zegar wydzwonił zwycięstwo światła dziennego nad mrokami nocy, a zarazem godzinę pracy. Posuwał zwolna długie wskazówki i czekał. Po chwili zaczęły się, jak zawsze, wysypywać gromadki ludzi i biegły — biegły w tę i ową stronę. Przyjrzał się staruszek ich twarzom i zobaczył, że są jakieś inne. Oczy patrzyły to smutno, to zawzięcie, ze złością, widać

było, że gnębi je jakiś ból, jakaś zmora, ale nie może skruszyć, bo usta tych ludzi zaciskały się zawzięcie. Muszę cierpieć! stało się biednym coś — pomyślał starowina. A ludzie ci płynęli czarną lawą głów, ubitą masą i z każdą chwilą było ich więcej, wszyscy zaczęli się skupiać u jego stóp. To coś nadzwyczajnego! — Stary zegar zamyślił się. A cała ta masa ludu co chwila z niecierpliwością spoglądała w górę na jego starą twarz, jakgdyby stamtąd czekała hasła. Teraz poczuł instynktownie po wyrazie ich twarzy, że gdy wybije godzinę, da hasło do jakiegoś czynu. Poczuł, że zobaczy coś, co może już kiedyś widział, ale w mglistej, dalekiej przeszłości, jego rozum stary już tego pamiętać nie może, bo to było tak dawno, tak bardzo dawno. Takie chwile przecież zdarzają się rzadko. I majaczyło mu widzenie, że usłyszy pieśń, która albo rozpłacze się gorzkim bezdennym bólem, nieutulonym w cierpieniach, albo naprężą się struny i buchnie pieśń spiżowem echem, rozbrzmi daleko i będzie śpiewać długo, nieśmiertelnie.

Pociągnął więc w trwożnym niepokoju — i wybiła owa godzina. Po chwili zakołysały się głowy, na wzniesienie wszedł ktoś i zaczął mówić. Wszystkie spojrzenia wpiły się z ciekawością w tę stronę, skąd dochodził głos, A głos był silny i gorący, spływał na te tłumy ludu, które słuchały rozlane szeroko, aż hen! — Słuchały w aureoli złotych błysków słonecznych. W oczach mieniły się i paliły krwawe iskry, w żyłach tętniła krew czerwona, żywa krew, — polska. Serca twardemi uderzeniami biły, aż gdzieś w gardłach. A głos mówiącego sypał na nich perłami gorących słów, wspominał wszystkie bezprawia, wszystkie katusze i zbrodnie. Wspominał bohaterów i męczenników za wolność, błogosławił czyny wielkie, święte, pradziadów i ojców naszych, których dusz jesteśmy spadkobiercami, a rzucał klątwy na morderców. Teraz stary zegar odgrzebał w pamięci dawne obrazki, kiedy to zbrojne hufce, uchylając hełmy zbrojne w pióropusze składały święte przysięgi, kiedy szumiały skrzydła husarskie, potem kiedy szlachta z ręką na szabli ślubowała życie miłej Ojczyźnie. Słyszał wtedy chrzęst zbroi, tętent kopyt końskich, widział wesołe twarze, przez które dusza szczerze mówiła, a on im dzwonił godziny — dni i lata. Przypomniał sobie starowina białe sukmany i ostre kosy, a teraz ich niema — już niema. Spojrzał zgóry na tę czarną gromadę, ścisnęło się jego zwiędłe serce, ból ostry, gryzący szarpnął nim gwałtownie, napłynęły gorzkie łzy do wypatrzonych oczu. Zapłakał biedny — zapłakał, bo serce go bolało, że tamto przeminęło, że nie widzi zbrojnych rycerzy, szyszaków, pioropuszów, radości na twarzach, lecz oto te bolesne spojrzenia, które mu mówią, iż cierpią bardzo i szamocą się bez sił.

Biedni, bezsilni — i zakrwawiło się serce łzami. Wtem drgnęło powietrze i buchnął głos pod wysokie niebiosa.

— Niechaj nam żyje nasza Ojczyzna!

— Nie damy Jej nikomu! — Nie damy! — Nie damy ziemi naszej!—Gołe pięści podniosły się w górę.

— Przysięgamy! — przysięgamy! że nie damy ni skrawka naszej świętej ziemi! Do ostatniej kropli w żyłach! Do ostatniego tchnienia w piersiach! — Rozjaśniły się twarze, wytrysnęła w nich gorąca miłość. Przysięgamy!! — odpowiedziało echo i popłynęło w głębiny wszechświata, niosąc przysięgę synów Ojczyzny. Aż rozjaśniło słońce swe spojrzenie. Z przyjemnością słało na ich głowy złotawe promienie, miłośnie pieszcząc ich rozognione twarze, ich wzniesione głowy. A w tych głowach buzował się ogień, kipiał war, ręce drżały zgodą czynu, któryby wyśpiewał ich wielką miłość. Ich ponure twarze nabrały, mocą przysięgi, weselszych blasków, iskry nadziei rozświeciły drogę i chociaż w tej chwili bez chrzęstu oręża, ale z ogniem w piersi wołały tłumy — Nie damy! — Stoczyły się łzy ulgi z twarzy bernardyna. — więc nieodrodni synowie! — Boże dzięki Ci! Gorętszy prąd przepłynął przez pogruchotane ciało, a z nim jakiś dreszcz rozkoszy życia i zdrowia. — Boże! dzięki Ci — mamrotały bezzębne usta, spróchniałe członki zadrżały radośnie. Schwycił z młodzieńczym zapałem za sznur i jak niegdyś dźwięcznie i czysto wydzwonił godzinę«.

Głownie już dopalały się na kominku. Mysmy siedzieli zasłuchani, przejęci do głębi małych serduszek, a Dziaduś kończył. — I dzieci moje drogie, moje kochane dzieci — głos załamał mu się — czy wiecie, że żegar ten długo jeszcze żył, a zdrowie przyniosła mu ta jedna godzina, podczas której zobaczył, że jego ukochani żyją, że Bóg powraca im zdrowie. Nadzieja dodała mu sił, powiedział sobie, że żyć musi, by wskazywać im szybkość ubiegającego bezpowrotnie czasu, by przypomnieć im, kiedy pora wypełnienia przysięgi. »Jeszcze Polska nie zginęła«. Rozśpiewały się ściany, obicia i stare meble, zdawały się śpiewać usta sczerniałych portretów, każdy kątek, każdy sprzęt śpiewał ze starymi zegarami. Rzuciliśmy się, by dziękować Dziadkowi za tak piękne opowiadanie, a on całował nas w głowy i śmiał się do nas już weselej. My zaś, wieszając się szyi, rąk już zupełnie swobodnie i wesoło śpiewaliśmy. I rozśpiewał się wewnątrz cały dworek.

A na dworze śpiewały wichry swoją wściekłą, wyjącą pieśń szarpiąc i trzaskając okiennicami.

Hala M.

Umierające oczy

Umierające oczy szeroko rozwarte —
Niosą mi pożegnanie ostatnie... bez słów...
Serce męką bezsilną spalone, rozdarte,
Garść niespełnionych marzeń i rozwianych snów...
Umierające oczy patrzą nieprzytomnie,
Oszalałe, oślepłe wśród śmiertelnych prób.
Przez krwi ponsowej rzeki, błędne idą do mnie
I w pokorze u moich upadają stóp.
Umierające oczy idą za mną zawsze,
Przepojone rozpaczą z wielkich krwawych pól,
Coraz smutniejsze, cichsze, coraz bardziej łzawsze
Niosą mi swą tęsknotę, swój bezmierny ból.

SKAUTKA

Zawsześ przy mnie

Zawsześ przy mnie... Po czarnych dalekich rozłogach
Błądzi samotny, cichy cień z tamtego świata,
Po dawno zapomnianych, pełnych wspomnień drogach
Błądzi widmo rycerza — kochanka i brata...
Zawsześ przy mnie... Gdy przymknę zmęczone powieki
Dalekiś mi jak szczęście... jak gwiazdy dalekі...
Z stygmatem krwawej męki na pobladłem czole
Zawsześ przy mnie... W jesienne deszczowe wieczory
Ktoś mi przynosi wieści, jedyny, o Tobie.
Gdzieś w dali szumią głuche, tajemnicze bory
I blady wrzos przekwita na samotnym grobie.
Zawsześ przy mnie... Stygnących ust pocałowanie
Spojrzenie ócz błękitnych z za głuchej mogiły
Przez wieczną dusz tęsknotę, wieczne serc kochanie
Zapomnieć Cię nie mogę o miły, mój miły.....

SKAUTKA

Z ŻYCIA

Pamiętam zbudziłam się w nocy. Ktoś mnie wołał po imieniu. Obejrzałam po pokoju: nic nie zdradzało najmniejszego ruchu; na dworze ciemno było jeszcze. Cisza wokoło. Zdawało mi się więc. Zaledwie jednak zamknęłam powieki, gdy wołanie powtórzyło się znowu. Zrazu było jakieś stłumione, potem przybliżało się, wkońcu zmieniło się w krzyk. Wołano mnie coraz gwałtowniej, natarczywiej. Zerwałam się, przetarłam oczy, usiadłam na łóżku. Mrok trwał w dalszym ciągu, tylko pokój wydał mi się teraz innym: czułam, że te głosy płyną ze sprzętów. Wstrzymałam oddech: jakieś niedosłyszane dreszcze, westchnienia, łkania płynęły z każdego sprzętu, w końcu wszystkie złączyły się w jeden akord — krzyk: wołano mnie po imieniu. Słyszałam wyraźnie. Głos zbliżał się ku mnie. Wstałam podeszłam do miejsca, skąd słyszałam najmocniej, przyłożyłam ucho — było to złudzenie — przedmiot stał nieruchomo, bez szmeru. Obeszłam pokój i przekonałam się, że głos ten nie stąd pochodził. Położyłam się, lecz zasnąć nie mogłam. Głosy umilkły. Z otwartemi oczyma przeleżałam kilka godzin. Ogarniał mnie jakiś niepokój wewnętrzny. Nagle drgnęłam: usłyszałam krzyk ten znowu, tylko jeszcze bardziej silny. Poraz pierwszy w życiu doznałam uczucia strachu, miałam wrażenie, że mi zdzierają skórę z czaszki. Wyczułam, że głos ten pochodzi z głębi mnie. Przyłożyłam głowę do poduszki i słyszałam jakby jakieś wymówki, spory, poszczególne wyrazy pamiętam dokładnie: jeden głos słabł coraz bardziej, drugi zmieniał się w krzyk: wołano mnie po imieniu. Potem niepokój wewnętrzny przeszedł w szamotanie coraz gwałtowniejsze. Czułam że jakiś pierwiastek stara się uwolnić z mych głębi. W złowrogim strachu przylgnęłam rękoma do piersi; szamotania zwiększały się, ręce drgały coraz bardziej; wytężałam wszystkie siły, by nie uledz. Krople potu spływały mi po twarzy.

Czułam, że moc... modliłam się. Jeszcze jeden straszny krzyk w głębi, gwałtowne wstrząsnienie i cisza...

Jak długo trwał ten proces nie wiem. Kiedy odzyskałam świadomość, siedziałam na łóżku, było już szaro. Ręce miałam w kołdrze, pod palcami strzępki, na piersiach ślady krwi. Zrazu wszystko wydało mi się snem, tylko ślady zaprzeczały temu. Zaczęłam powracać pamięcią do dnia ubiegłego. Pamiętam, że wstrząsnął mną tego dnia właśnie widok kobiety obdartej, obszarganej, bosej, miejscami było widać gołe ciało, z maleńkiem dzieckiem na ręku, trzymała jakąś wstrętną szmatę przy ustach jego i śpiewała nabożną pieśń na nutę krakowiaka. Weszła, usiadła na progu, znieruchomiała. Podeszłam do niej. Wtedy podniosła głowę, spojrzała na mnie, pamiętam ten wzrok: wtedy poczułam co to jest nędza. Pamiętam, co się działo w mej duszy, gdy odeszła. Widziałam ją ciągle, a teraz była mi obojętna: gdyby trzeba było dziś wyciągnąć rękę, by ją wyrwać z tej otchłani, nie zrobiłabym tego.

Odtąd nic mnie nie zajmowało; zło czy dobro przyjmowałam z równą miarą, kiedy się wszyscy oburzali, patrzyłam biernie. W nocy leżałam z otwartemi oczyma. Słyszałam głosy, tylko już inne: jakby śmiechy, szyderstwa. Całe tłumy wizji wyprawiały harce wokoło mnie, ale już nie we mnie. Nie bałam się, tylko rano czułam, że wzrok mój bardziej pochmurniał i coraz bardziej utwierdzałam się w tym stanie. Życe, to młode życie, które miało dla mnie tyle uroku, oddałabym je teraz bez oporu w każdej chwili, ostatecznie było mi wszystko jedno. I dziwiłam się, jak można było chcieć, lub nie chcieć, zgadzać się lub nie. Mnie było wszystko jedno. Straciłam uśmiech, żaden rys nie drgnął. Wszystko mi się wydało próżne, puste, bezcelowe i wszystko zdawało mi się złudzeniem. I to, że ja istnieję, że myślę, że są jakieś wyższe cele. Wtedy poczułam, że owej nocy istota Boża wyszła z mego ciała. Wiem, że tak było, to nie złudzenie. Dlaczego Bóg mnie opuścił wtedy?

Czy dzieje się to z każdym człowiekiem, że Bóg na pewien czas dłuższy, czy krótszy rozłącza się z nim? Gdzie odchodzi pierwiastek duchowy? Czy wraz z nim kończy się życie? Tak kończy się właściwie życie — dla mnie był to okres martwy. Musiałam się męczyć, nie czułam tego jednak. Dziś na samo wspomnienie odruchowo oglądam się wkoło, jakby szukając ratunku. Dwa miesiące trwałam, nie żyjąc. Pewnego dnia zauważyłam w sobie większe zainteresowanie, chodziłam jakaś weselsza, uśmiechałam się, jakby do jakiejś myśli zbawiennej. Przed wieczorem, jakby pod wpływem niewidocznej siły, uczułam potrzebę pójścia do ogrodu. Wiedziałam, że muszę tam iść. Siła ta pchała mnie po wąskiej alei, po której nigdy dotychczas nie chodziłam, do szczątek dawnej altany. Nagle jakiś prąd ożywczy uderzył we mnie. Uczułam w piersiach radość taką, jakby mnie spotkało wielkie szczęście. Chciałam krzyczeć radośnie, cały świat objąć i do piersi przycisnąć. Poczułam, że to Bóg mój, powrócił do mnie.

Orlicz

LATO

W zbożu pełno maków, chabrów i rumianków,
W lesie pełno jagód, na łące sasanków.
To idzie strojne lato, w półkolu kwietnych wieńców,
Hej! zbudźcie się ludzie, zboże czeka żeńców.
Już kwitną i róże, ponsowe goździki,
I w puszystej trawie ćwierkają koniki,
A pszczoły latają i brzęczą rojami,
Zwabione zapachem, barwą i kwiatami.
Pszenica się złoci, zielenieje proso,
A chłopięta wiejskie chodzą w polu boso,
I pilnują gęsi, by nie weszły w szkodę,
By im nie uciekły na płynącą wodę.
W sadach dojrzewają słudziutkie wisienki,
O licach rumianych, jako u panienki.
Dojrzewają jabłka i złocą się gruszki,
A w świetle komary latają i muszki,
Zdala wyglądają jak punkciki małe,
Od słońca złociste i błękitne całe.

Wandzia (ucz. kl. IV).

Znaczenie skautingu w społeczeństwie

Skauting jest to ruch zwrócony przeciwko niedbalstwu, lekceważeniu swych obowiązków. Uczy on przedewszystkiem, jak zostać prawdziwym chrześcijańskim rycerzem. Jak postępować, aby nie splamić się złym czynem, honor swój cenić nadewszystko, a wrazie niebezpieczeństwa być gotowym stawić się do walki w imię swych świętych ideałów i dobra Ojczyzny.

Ćwiczenia fizyczne wyrabiają energię, posłuszeństwo, karność, silną wolę i dążenie do ozłocenia życia codziennego promieniem służby ofiarnej. Aby wyrobić nasz charakter na nieugięty.

Skaut powinien rozumieć, czego od niego wymaga Ojczyzna i spełnić to sumiennie. Trzeba aby skaut był słownym, punktualnym, trzeba, aby był rozważnym w dawaniu słowa, bo dane słowo obowiązuje go, jak przysięga. Aby był rzetelnym, zawsze mówił prawdę. Celem i zadaniem nasze-

go życia jest wskrzeszenie potęgi Polski, a najważniejszym środkiem, który dąży do tego celu jest sumienne spełnianie swoich obowiązków. Bo służbą dla Ojczyzny jest nietylko obrona jej podczas walki, gotowość oddania jej życia, lecz poświęcenie osobistych spraw na rzecz ogólnego dobra. Mamy bowiem szerokie pole pracy społecznej a mianowicie: oświatę szerzyć, zapobiegać szerzącej się nędzy, dbać o moralny postęp ludzkości. Trzeba się wciąż przyzwyczajać do zwalczania w sobie egoizmu, aby potem zwycięstwa łatwo przychodziły. Takiem ćwiczeniem jest spełnianie swoich obowiązków, jest usiłowanie, aby być pożytecznym dla ludzi, bez liczenia na czyjąkolwiek wdzięczność. Sposobność czynienia dobrych uczynków zdarza się na każdym kroku. Obyczaj skautowy wymaga kary dla każdego, który usta swe splami przekleństwem. Bo w każdym człowieku trzeba uszanować jego godność ludzką, nie lekceważyć nigdy ubogich, a nie wywyższać bogatszych, lecz przeciwnie ująć się za tymi, którzy potrzebują obrony. Trzeba się strzedz samowoli, bo ta często prowadzi nas do złych celów. Trzeba wolę swą tak urabiać, aby ta chętnie podlegała prawom moralnym.

Karność skauta ma być równa karności rycerskiej, a posłuszeństwo powinno być natychmiastowe i chętne. Niczem się nie zniechęcać, nie zrażać, wszystkie przeciwności znieść z pogodą ducha, nie irytując się, ani niecierpliwiąc, poskramiając w sobie każdy objaw złego humoru lub gniewu. Nie należy pieniędzy zarobionych marnotrawić, lecz jeśli mamy chętkę wydać na jakąś błahostkę, bez której wiemy, moglibyśmy się obejść to oddajmy lepiej te parę kopiejek ubogiemu, wspomniawszy, że on może w tej chwili trzęsie się gdzieś z zimna i nie ma za co kupić sobie kawałka chleba. Czasu także nie godzi nam się spędzać bezużytecznie, bo pamiętajmy o tem, że czas stracony już nigdy nie powróci. Nadto skaut powinien brzydzić się wszelkim brudem zarówno fizycznym jak moralnym, bo wiemy, że czystość ciała jest warunkiem zdrowia każdego człowieka, ale czystość duszy jest warunkiem jego wartości wewnętrznej.

Należy nadto uważać, aby czystość ciała i czystość duszy szły z sobą w parze. Bo cóż wart jest człowiek pięknie wystrojony, posiadający brudne sumienie? Skaut nie powinien dać się opanować żadnemu z nałogów. Bo wiemy doskonale, że jaką jest młodzież takim w przyszłości będzie cały naród. Bo i Mickiewicz sam rzekł te słowa: »O ile polepszycie dusze wasze, o tyle powiększycie prawa wasze i rozszerzycie granice wasze«.

H. O.

FRASZKI

Nauczycielka: Jak się odniósł senat rzymski do wniosku Tyberjusza Grakcha?
Uczenica: Senat wniosek odrzucił, a ciało jego kazał wrzucić do Tybru i zamordować.

— — —

Uczenica: Senat zażądał, żeby Cezar rozpuścił legjony, ale Cezar obawiał się, że gdy wróci w cywilu senat go skaże na śmierć i nie zgodził się.

KORESPONDENCJE

List do koleżanek

W każdem środowisku, w każdem zgrupowaniu ludzi wywiązuje się samorzutnie niemal myśl zjednoczenia, wytworzenia łącznika, który miałby na celu utworzenie z poszczególnych jednostek jednej ściśle złączonej całości. I w naszem życiu szkolnem zjawił się taki łącznik, a jest nim pismo uczenic »Młodzież«. Ma to pismo na celu wytworzenie spójni między koleżankami, zaprawienie je

zawczasu do pracy ogólnej; do pracy, polegającej nietylko na kształtowaniu swego umysłu, ale i do wypowiadania swych myśli, pragnień i ideałów. Ma »Młodzież« być odzwierciedleniem życia naszego, ma zawierać w sobie duszę cząstki młodzieży polskiej, ma być wyrazem jej wewnętrznych przeżyć. Takiem pismem powinna być »Młodzież«. Ale niem jeszcze nie jest. Czegoś brak jeszcze. Nasuwa się pytanie: czego mianowicie nie wystarcza na tworzenie z »Młodzieży« zwierciadła duszy naszej? Dla rozwiązania tego pytania pozwolę sobie zwrócić uwagę koleżanek na dwie zasadnicze w tej sprawie rzeczy. Przedewszystkiem niejedna z Was — być może — nie zdaje sobie sprawy z tego, czem powinna być »Młodzież«, jaki jest cel szkolnego pisma. Może istniało w Was niejasne poczucie tych celów i wartości szkolnego pisma, lecz nie zostało jeszcze ściśle i jasno sformułowane. A następnie brak w Was szczerości i zaufania. Obawiacie się dawać swoje prace i myśli w ręce redakcyjnego komitetu; nie chcecie narazić się na to, by praca wasza mogła być odrzucona. Zapominacie o tem, że komitet redakcyjny stanowią osoby, które przecież nie czyhają na skrytykowanie waszych młodych prac, które — przeciwnie — z sympatją i wyrozumiałością odnoszą się do uczenic. Jako starsza koleżanka i wtajemniczona w te sprawy, zapewniam Was, że to, co wyżej napisałam, est prawdą.

Być może, że pod niektórymi względami mylę się, a w takim razie, jeśli która z koleżanek nie zgadza się z myślami tu rzuconemi, niech wyłuszczy tę sprawę zaraz w następnym numerze »Młodzieży«. W ten sposób porozumiemy się, w ten sposób zadzierzgniemy węzeł serdeczny, przyjazny, prawdziwie koleżeński. Wierzę szczerze i mocno, że pośpieszycie z pomocą komitetowi redakcyjnemu, że w miarę możności będziecie zasilały swemi myślami »Młodzież«, że pismo szkolne stanie się ogniskiem wspólnych uczuć i myśli, stanie się napewno łańcuchem wiążącym nas wszystkie w mocną, wielką siłę.

Kronika szkolna

»Bratnia Pomoc« stara się nietylko dopomagać koleżankom pod każdym względem, ale dba o to również, by młodsze przynajmniej koleżanki miały niekiedy przyjemność i rozrywkę. I tak niedawno została urządzona na pensji zabawa dla klas: podwstępnej, wstępnej, I i II. Program nie był wprawdzie zbyt obfity, ale koleżanki, rozumiejąc, że dajemy to, na co nas stać i co leży w naszej mocy, zebrały się licznie. Po ożywionych zabawach z żalem opuszczały gmach szkolny, który rozbrzmiewa niekiedy i popołudniu gwarem i życiem wesołem, pytając, czy prędko będzie następna zabawa. W kilka zaś dni później klasa III stawiła się w komplecie i pod opieką pań nauczycielek bawiła się radośnie i ochoczo. Takie zabawy i zgromadzenia nie pociągają za sobą wiele kłopotu i wydatków, a mają natomiast tę dobrą stronę, że zrzeszają koleżanki, sprawiając im prawdziwą przyjemność.

Zgodnie z postanowieniem ostatniego zebrania komitetu redakcyjnego podaje się do wiadomości koleżanek, że rękopisy należy doręczać tylko koleżance M. Michalskiej z kl. V. Zwraca się przytem uwagę koleżanek, by pod rękopisami umieszczały obok pseudonimów nazwiska autorek, gdyż w przeciwnym razie utrudnia to porozumienie się.

Redaktorka Marja Kuźmińska. 2597—Drukarnia Państwowa pod zarządem Dep. Skarb. N.K.N. w Piotrkowie.